

Księga pierwsza – Londyn

Monsieur van Gogh, czas wstać!

Vincent jeszcze przez sen oczekiwał głosu Urszuli.

– Już nie śpię mademoiselle Urszula! – odrzyknął.

– Nieprawda – zaśmiała się dziewczyna – dopiero teraz obudził się pan. – Posłyszał, jak zbiega ze schodów na dół i idzie do kuchni.

Vincent zerwał się z łóżka i rozpoczął codzienny rytuał golenia: naprzód w dół szerokim policzkiem, od prawej strony skroni do kąta ust, prawa strona górnej wargi od nosa począwszy, potem lewa strona, wreszcie broda – po tężna, zaokrąglona płyta z ciepłego granitu.

– Monsieur van Gogh – zawołała znów Urszula pukając do drzwi – listonosz przyniósł list do pana.

Poznał pismo matki i wsunął list do kieszeni: przeczyta w spokojnej chwili u Goupilów. Odczesał do tyłu długie, gęste, rude włosy, włożył białą koszulę, niski kołnierzyk i szeroki, czarny krawat, po czym zszedł do jadalni, na śniadanie – i do uśmiechu Urszuli.

Urszula Loyer i jej matka, wdowa po pastorze z Prowansji, u których mieszkał Vincent, prowadziły przedszkole dla chłopców w małym domku ukrytym w ogrodzie. Dziewiętnastoletnia Urszula była roześmianym, wielkookim stworzeniem, o twarzy delikatnej i pastelowej, o figurce zgrabnej i smukłej. Vincent lubił patrzeć, jak błysk uśmiechu rozpościera się na jej pikantnej twarzy niby światło słońca na kolorowym parasolu.

Urszula podała mu śniadanie szybko i z gracją, żywo paplając. Vincent miał lat 21 i kochał po raz pierwszy. Życie leżało przed nim. Wierzył, że będzie szczęśliwy, jeśli przez resztę swych dni wolno mu będzie jeść śniadanie na przeciw Urszuli.

Urszula przyniosła jajko na szynce i filiżankę mocnej, ciemnej herbaty. Kręciła się na krześle vis à vis Vincenta, gładziła swoje kasztanowe pukle i uśmiechała się do niego podając kolejno sól, pieprz, masło i tosty.

– Pańska rezeda urosła troszeczkę – oznajmiła. – Chce pan ją obejrzyć przed pójściem?

– Tak – odparł. – Czy pani zechce, to jest, czy pani zechciałaby... pokazać mi ją?

– Co za śmieszny człowiek! Zasiał sam rezedę i teraz nie wie, gdzie jej szukać! – Miała zwyczaj mówienia o ludziach w ten sposób, jak gdyby ich przy tym nie było.

Vincent przelknął ślinę. Jego maniery, podobnie jak ciało, były niezdarne i ociężałe, nie potrafił znaleźć słów odpowiednich dla Urszuli. Zeszli na podwórze. Był chłodny poranek kwietniowy, ale jabłonki stały już w rozkwicie. Mały ogródek dzielił dom Loyerów od przedszkola. Przed kilku dniami Vincent posiał w nim mak i zielony groszek. Rezeda poczęła kielkować. Vincent i Urszula przykucnęły z obu stron grządki, ich głowy stykały się niemal. Włosy Urszuli miały mocny, naturalny zapach.

– Panno Urszulo – powiedział.

– Proszę... – cofnęła głowę, ale uśmiechała się doń pytająco.

– Ja... ja... to jest...

– O Boże, co za jąkała z pana! – wykrzyknęła i zerwała się. Poszedł za nią w stronę przedszkola. – Moi malcy wnet się zjawiają – powiedziała. – Czy nie spóźni się pan do sklepu?

– Mam czas. Droga na Strand trwa 45 minut.

– A co się stało z tym obrazem, który mi pan obiecał do przedszkola?

– Posłałem reprodukcję jednego ze szkiców Cezara de Cocka do Paryża z prośbą o dedykację dla pani.

– O, to cudownie! – klasnęła w dłonie. – Niekiedy potrafi pan być doprawdy czarujący.

Uśmiechnęła się oczami i ustami i chciała odejść. Zatrzymał ją.

– Wczoraj w nocy myślałem o odpowiedniej nazwie dla pani – powiedział. – I nazwałem panią l'ange aux poupons.

Urszula odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła śmiechem. - L'ange aux poupons! – zawołała. – Muszę to zaraz powiedzieć mamie.

Słońce arlezjańskie było wibrującą, płynną kulą cytrynowego ognia, która płynęła po jaskrawym błękitcie i napelniała przestwór oślepiającym światłem. Przeraziłwy żar i ostra przejrzystość powietrza stwarzały jakiś nowy, nierealny świat.

Vincent wysiadł wczesnym rankiem z wagonu III klasy i poszedł krętą ulicą, wiodącą z dworca na Plac Lamartine'a, rynek miasteczka, zamknięty z jednej strony groblą nad Rodanem, z drugiej – nędznymi hotelikami i kawiarniami. Naprzeciwko, na wzgórzu, przylepione do zbocza piętrzyło się Arles, senne i martwe w gorącym, tropikalnym słońcu.

Kwestia przyszłego mieszkania była Vincentowi obojętna. Poszedł do pierwszego z brzegu hotelu na placu, Hôtel de la Gare, i wynajął sobie pokój. Stało w nim jęczące łóżko mosiężne, pęknięty dzban w miednicy oraz krzesło osobliwego kształtu. Właściciel hotelu wniósł jeszcze prosty, drewniany stół. Na ustawienie sztalug brak było miejsca, lecz Vincent miał nadzieję, że będzie mógł cały dzień malować pod gołym niebem.

Rzucił plecak na łóżko i wyszedł na miasto. Dwie drogi wiodły z placu do centrum Arles: jedna, dalsza i okrężna dla wozów, wiała się łagodnie po zboczu wzgórza, koło rzymskiego forum i amfiteatru. Vincent wybrał krótszą, ale za to bardziej stromą ścieżkę dla pieszych.

Po uciążliwej wędrówce dotarł na spalony od słońca Plac Ratuszowy. W drodze minął kilka kamiennych, chłodnych, czworokątnych budynków, które czyniły wrażenie, jak gdyby stały tu nienaruszone od wczesnych czasów rzymskich. Aby zapobiec przenikaniu niemiłosiernego słońca w ulice, pobudowano je tak wąsko, że Vincent końcem palców mógł dotknąć murów po obu stronach. Dla powstrzymania przykrych wiatrów z północnego zachodu uliczki na stokach wzgórza pięły się labiryntowymi skrętami.

Ani jedna nie biegła dziesięciu metrów prosto przed siebie. Leżały na nich śmieci, brudne dzieciaki stały w bramach, wszystko czyniło wrażenie nieszczęsne i szczone.

Opuścił Plac Ratuszowy i przez krótką uliczkę dostał się na główną arterię handlową u końca miasta, potem minął niewielki park i po drugiej stronie wzgórza okrężną już drogą zbiegł do rzymskiej areny. Pnąc się w górę po stopniach dotarł na szczyt amfiteatru. Tu usiadł na kamiennym bloku i rozejrzał się po okolicy, nad którą ustanowił się panem i mistrzem.

Miasteczko pod nim opadało stromo niby kaskada ku Rodanowi. Dachy domów zdawały się wrastać w siebie spletanym, niedocieczonym deseniem. Pierwotnie wszystkie było snadź pokryte czerwonymi gontami, lecz palające bez przerwy słońce przepaliło je, tworząc kolorową patynę – od subtelnej żółtości i najdelikatniejszego, brzoskwiniowego różu do jaskrawego błękitu i gliniastej ochry.

Szeroki, rwący Rodan skręcał ostro u stóp wzgórza i mknął dalej ku morzu. Kamienne groble ujmowały oba brzegi rzeki. Na przeciwległym pagórku jaśniało Trinquetille, niby sztuczne, wymalowane miasto. Z tyłu, za Vincentem, leżało pasmo gór, olbrzymi łańcuch sterczący wysoko w rozwidniony przestwór. Przed nim rozpościerał się krajobraz uprawnych pól, sadów owocowych, obsypanych kwieciami, potężne wzgórze Montmajour i żyzne doliny, poryte tysiącem głębokich bruzd, zbiegających się z sobą gdzieś w nieskończoności.

Co jednak uderzyło Vincenta najbardziej, co go olśniło tak, że musiał ręką przesłonić oczy, to barwa. Niebiosa miały kolor tak jaskrawy, tak bezlitośnie i głęboko błękitny, że nie czyniły już wcale wrażenia niebieskich: zdawało się raczej bezbarwne. Zieleń rozpostartych przed nim pól i łąk tryskała soczystością. Cytrynowe, ogniste słońce, krwawo-

czerwona ziemia, krzycząca biel samotnej chmury nad Montmajour, zmieniająca się co chwila różowość sadów owocowych...

Nieprawdopodobne zaiste były te barwy. Jak mógł je odmalować? I jak mógł zmusić kogoś do uwierzenia, że są prawdziwe, choćby mu się udało przenieść je na płótno?